

POWIEŚĆ AUTORKI NAGRODZONEGO PULITZEREM

DEMONA COPPERHEADA

LOT  
MOTYLA

BARBARA  
KINGSOLVER

FILIA



**LOT  
MOTYLA**



**BARBARA  
KINGSOLVER**

PRZEŁOŻYŁA  
ANNA KŁOSIEWICZ

FILIA



*Virginii Henry Kingsolver*  
*oraz*  
*Wendellowi Royowi Kingsolverowi*



## *Miara człowieka*

Kiedy człowiek porzuca na zawsze dobre życie, ogarnia go szczególne uczucie, wykraczające daleko poza zachwyty. Albo tak przynajmniej wydawało się płomiennowłosej kobiecie, która zmierzała na szczyt, by stawić czoło swemu końcowi. Niewinność nie miała tu nic do rzeczy. Kobieta zdawała sobie sprawę z własnej lekkomyślności i sama nie mogła się nadziwić, jakim cudem ulotny moment uniesienia może przeważać nad dławiącym ciężarem hańby. W mieście, gdzie wszyscy ich znali, wstyd i poczucie przegranej staną się udziałem także jej dzieci, i to właśnie wydawało jej się najgorsze. Po tym wszystkim nawet nastoletnie kasjerki w sklepie spożywczym będą patrzeć na nią z góry, postukując pomalowanymi paznokciami o ladę i wymieniając z pakującym zakupy chłopakiem znaczące spojrzenia z gatunku „To ona”, kiedy będzie wypisywała czek za płatki owsiane i mrożony groszek, składające się na posiłki rozbitej rodziny. Będą tacy pełni zachwyty dla stałości własnego istnienia. Aż do dnia, kiedy okaże się, że na składzie nie ma już żadnej nadziei, nawet tej najpośledniejszego gatunku z wyprzedazy, a w głowie tłucze się tylko jedna myśl: uciekaj. Zupełnie jak w przypadku tropionego zwierzęcia czy konia wyścigowego, na tym etapie wygrana czy przegrana niczym się już od siebie nie różnią, skutkując tym samym przyspieszonym biciem serca i brakiem tchu. Za dużo paliła, to była kolejna z paskudnych cech, które można jej było wytknąć. Ale podjęła już decyzję. Mnóstwo ludzi wybierało takie rozwiązanie, spoglądając przyszłej kłęsce prosto w oczy i dostrzegając w niej coś zupełnie innego. Teraz nadeszła jej kolej. Mogła nazwać to uczucie ucisku w piersi szczęściem zamiast zadyszka, którą zdiagnozowałaby z pewnością u siebie, gdyby prze-

nosiła teraz w domu ciężki kosz z praniem, jak przystało na rozsądną matkę dwójki dzieciaków.

Dzieci zostały u teściowej. Podrzuciła je tam rano pod byle pretekstem, ale nie była w stanie teraz o tym myśleć. Ich drobne buzie uniesione ku niej niczym okrągłe główki stokrotek: *kocha, nie kocha*. Wszystkie te nadzieje, umieszczone w równie kruchym naczyniu. Realistycznie patrząc, jej rodzina mogła zostać skasowana. Takiego właśnie słowa należało tu użyć, zupełnie jakby to był wrak samochodu rozbitego na słupie telefonicznym, zero elementów, które dałoby się uratować. Jeśli o to chodzi, żaden facet, który jest coś wart, nie wybaczyłby żonie zdrady. A jednak coś ciągnęło ją na szczyt, jakaś niewidzialna dłoń, której jedno muśnięcie mogło zniszczyć wszystko, co знаła. Może nawet wyczekiwała swego upadku, z tęsknotą znacznie przewyższającą rozsądek.

Na skraju pastwiska przystanąła na chwilę, żeby złapać oddech. Druciane ogrodzenie ugięło się lekko pod naporem jej ciała. Żadnej siatki zabezpieczającej. Zajrzała do torebki i przeliczywszy papierosy, zrozumiała, że będzie musiała je sobie wydzielać. Dzisiaj nie okazała się zbyt przewidująca. Zamszowa kurtka była zbyt ciepła jak na tę pogodę, a poza tym co, jeśli zacznie padać? Marszcząc brwi, popatrzyła na listopadowe niebo, to samo szare nakrapiane sklepienie, które oglądała od tygodnia, miesiąca, właściwie od zawsze. Przez całe lato. Ktokolwiek decydował o pogodzie tam na górze, całkowicie zrezygnował z błękitu i zawiesił nad jej głową tę masę burej bieli, która przywodziła na myśl dzieło kiepskiego tynkarza. Pobliski staw zdawał się odbijać więcej światła, niż niebo miało do zaoferowania. Owce stłoczyły się wokół lśniącego lustra wody, zupełnie jakby one też straciły nadzieję na słońce i postanowiły zadowolić się jego marną namiastką. Wzdłuż prowadzącej ku Feathertown drogi i po drugiej jej stronie, aż do Cleary, połyskiwały kałuże, długi szlak dziur migoczących wodnistym światłem.

Owce na rozciągającym się u jej stóp pastwisku, należąca do Turnbowów ziemia, biały drewniany domek, w którym spędziła praktycznie każdą noc w trakcie swojego trwającego już ponad dziesięć lat



małżeństwa: to właściwie było wszystko. Panoramiczna wersja jej życia odkąd skończyła siedemnaście lat. Jeśli nie liczyć krótkich wypadów do szpitala w związku z porodami. Najwyraźniej dzisiaj nastał dzień, by wreszcie wyszła poza ramy tego obrazka. Wyróżniła się spośród tych nieszczęsnych owiec, które stały w błocie naznaczonym głębokimi śladami ich racic, cierpliwie znosząc przeciwności losu. Przez całe parne lato chodziły otulone gęstym runem, ale teraz, u progu zimy, czekało je strzyżenie. Życie stanowiło jedno długie przedsięwzięcie, którego zwyczajnie się nie spodziewały. Pastwisko tonęło w błocie, pracowicie posadzony przez sąsiadów poprzedniego roku sad umierał w strugach deszczu. Z miejsca, w którym stała, wszystko, nawet jej własny dom, sprawiało wrażenie nieruchomego i obcego, zapewne za sprawą punktu widzenia. Do tej pory zawsze wyglądała przez te okna, a nie patrzyła w nie, o ile w ogóle miała na to czas w towarzystwie maluchów jeżdżących po podłodze plastikowymi ciężarówkami. A już z całą pewnością nigdy nie wspięła się tutaj, żeby popatrzeć na dom z oddali. Dach nie wyglądał zbyt zachęcająco.

Jej samochód stał zaparkowany w jedynym miejscu w okręgu, które nie powinno wywołać plotek: na podjeździe przed jej własnym domem. Ludzie znali to kombi, ale wciąż myśleli o nim jak o aucie jej matki. To zawodne pudło na kółkach, zdatne wyłącznie do krótkich wypadów w celu załatwienia jakiejś sprawy z dwójką dzieci na przyczepkę, stanowiło jedyną rzecz, jaka jej pozostała po śmierci matki. Ceną, którą przyszło jej za to zapłacić, było niepokojące wrażenie, że kobieta ciągle im towarzyszy, wciśnięta między dziecięce foteliki, od czasu do czasu wyciągająca rękę ponad głowami maluchów, żeby strzepnąć za okno popiół z papierosa. Ale dzisiaj nie musiała się tym martwić. Kiedy podrzuciła już dzieci do położonego kilometr dalej domu teściowej, z piskiem opon popędziła z powrotem, podekscytowana i kapryśna niczym niesiony wiatrem latawiec. Weszła do domu tylko na chwilę, żeby umyć zęby i po zdjęciu okularów podmalować oczy konturówką. Nie potrzebowała więcej przygotowań, nim wypadła wreszcie tylnym wejściem, by ostatecznie zniszczyć sobie reputację. Podniecenie przeszywało jej ciało prądem niczym dźwięk budzika podrywający

człowieka o pierwszym brzasku, by wprawić w ruch wszystkie sprawy dnia, których nie sposób zatrzymać.

Ruszyła przez rozjeżdżone błoto wzdłuż ogrodzenia, pchnęła bramę i prześliznęła się pod łańcuchem. Za płotem rozciągał się prawdziwy gąszcz sileńców i wrzośców, wśród których wiła się stara, od dawna nieużywana droga, z pędami dzikich malin tworzącymi coś na kształt tunelu. Ostatnio była tu w czerwcu dwa lata temu, kiedy razem z mężem, Cubem, i jego kolegami wybrała się nabierać malin, choć to nie ona wyszła z tą propozycją. Była wtedy w ciąży z Cordelią i miała brzuch tak duży, że bała się, czy nie przyjdzie jej urodzić w tych zaroślach, ale dzięki temu teraz wiedziała, kiedy dokładnie to było. Preston miał wtedy cztery lata. Przypomniała sobie, jak ścisnął jej rękę ze wszystkich sił, kiedy krzykliwi kumple Cuba wystraszyli ich prawie na śmierć żartami na temat węży. Pędy malin miały dziwny kolor, teraz to dostrzegła, chociaż nie wiedziała przecież praktycznie nic na temat przyrody. Ale jasnoróżowy? Odcień szminki, którą mogłaby się umalować trzynastolatka. Ona sama pewnie ominęła ten etap, przechodząc bezpośrednio od koralowego różu do krwistej czerwieni.

W końcu zagajnik ustąpił miejsca lasowi. Drzewa zaciskały w pięściach ostatnie kępiki letnich liści, a ona nagle pomyślała o żonie Lota z Biblii, która odwróciła się, by po raz ostatni spojrzeć na swój dom. Biedaczka, zamieniona w słup soli za tak niewielkie nieposłuszeństwo. Sama nie obejrzała się za siebie, ale zagłębiła się w las rozjeżdżoną drogą, którą w rodzinie jej męża od zawsze nazywano High Road, „prostą drogą”. No jasne, pomyślała. Wybrała prostą drogę do piekła, chociaż nie zwróciła uwagi na ironię tej nazwy, kiedy układała swój plan. Trasa wiodąca na szczyt musiała zostać wytyczona dawno temu, żeby ułatwić wycinkę drzew, ale teraz była mocno zarośnięta. Cub i jego ojciec czasem jeździli tędy quadem do górskiej chaty, kiedy wybierali się na polowanie na indyki. Albo tak przynajmniej było w dawnych czasach, kiedy obaj ważyli jakieś trzydzieści kilogramów mniej i używali nóg nie tylko jako nietypowego obramowania dla ekranu telewizora. Chociaż już wtedy droga musiała być mocno zaniedbana, bo przecież zawsze

zabierali ze sobą piłę łańcuchową, na wypadek gdyby natknęli się na powalone drzewo.

Dawno temu jeździła tam z Cubem na tak zwane pikniki. Ale to było przed narodzinami Cordie i Prestona. Co za wariactwo uważać tę należącą do jego rodziców starą szopę za lokum dobre do seksu. „Miejsce schadzek”, przemknęły jej przez głowę słowa z jakiejś powieści. A potem mądrość teściowej: „Nie ma sensu upiększać nieprzyzwoitości”. Tylko gdzie mieliby to zrobić? W ich pełnej wywróconych na lewą stronę roboczych koszul małżeńskiej sypialni, gdzie Barbie pozbawiona nogi wpatruje się nieruchomym wzrokiem w człowieka, kiedy ten próbuje się wprawić w odpowiedni nastrój? Powodzenia. Z kolei motel Wayside Inn przy autostradzie był żalonym miejscem, nawet zanim człowiek zaczął się zastanawiać nad kosztami grzechu. Mike Bush z recepcji pewnie powitałby ją wesołym: „Dobry, pani Turnbow, jak tam dzieciaki?”.

Nagle drogę zagrodziło jej powalone drzewo, tak potężne, że z trudem przedostała się na drugą stronę, omijając konary wciąż porośnięte wilgotnymi liśćmi. Czy on zdoła pokonać tę przeszkodę, czy zniechęcony zawróci? Serce podskoczyło jej do gardła na myśl o tym, że mogliby stracić tę jedyną słodką szansę, więc kiedy znalazła się po drugiej stronie, zaczęła się nawet zastanawiać, czy na niego nie zaczekać. Ale przecież znał drogę. Mówił, że korzystał ze swoimi kumplami z tej chaty parę sezonów temu, chociaż ani ona, ani Cub ich nie znali. Jego koledzy na pewno byli od nich młodszy.

Otrzeptała dłonie z wilgotnej ziemi i popatrzyła na cielsko powalonego olbrzyma. Drzewo było nienaruszone, nie zostało ścięte czy połamane przez wiatr. Cóż za strata. Przetrwało pewnie parę wieków, by teraz tak po prostu się poddać. Leżało z odsłoniętą bryłą korzeni, wzniesioną ponad wykrotem powstałym w gliniastej ziemi lesistego zbocza. Wyrwane ze swojego miejsca, zupełnie tak jak ona. Ale po ostatnich ulewach takie rzeczy działy się w całym okręgu, czytała o tym w gazecie: potężne drzewa wywracały się nocą, by zniszczyć dach czyjeś domu czy zmiążdżyć stojące na podjeździe auto. Nasiąknięta wodą ziemia przypominała miękką gąbkę, w której drzewa zwyczajnie nie

znajdowały już oparcia. Niedaleko Great Lick osunęło się całe porośnięte dorodnym lasem zbocze, zamieniając się w prawdziwą lawinę roztrzaskanych pni, skał i wody. Wszyscy byli wstrząśnięci, nawet ludzie tacy jak jej teść, którzy każdą tragiczną wiadomość kwitowali stwierdzeniem: „Też mi nowina”, jakby nic na tym świecie nie mogło ich już zaskoczyć. Jednak czegoś takiego z pewnością się nie spodziewali i byli nawet gotowi się do tego przyznać. Może dostrzegali w tym wszystkim rękę Boga, którego uwadze z pewnością nie umknie najdrobniejsze kłamstwo.

Droga pnąca się ostro w górę zbocza zamieniła się teraz w wąską ścieżkę. Jeszcze jakieś półtora kilometra, pomyślała płomiennowłosa kobieta. Próbowwała przyspieszyć kroku, wyobrażając sobie, że z długimi, prostymi włosami wygląda jak prawdziwa lekkoatletka, ale tak naprawdę nogi bolały ją coraz bardziej, a płuca płonęły żywym ogniem. Nowe buty. Kolejna strata, którą należało dodać do rachunku. Ciemnobrązowe trzewiki z cielęcej skórki miały ręcznie obrabiane cholewki i lśniące obcasy. Były tak piękne, że prawie się popłakała, kiedy natknęła się na nie w lumpeksie Second Time Around, gdzie szukała jakichś niezniszczonych ubranek, które Preston mógłby nosić do przedszkola. Kosztowały sześć dolarów i wyglądały jak nowe, z ledwie zarysowanymi zelówkami. Gdzieś tam w świecie ktoś miał na tyle udane życie, że mógł się przespacerować jeden jedyny raz w drogich nowych butach, a potem tak po prostu je wyrzucić. Buty nie były idealnie dopasowane, ale dobrze wyglądały na nogach, więc je kupiła – pierwszy zakup wyłącznie dla niej od ponad roku, jeśli nie liczyć produktów higienicznych. Czy papierosów, których z całą pewnością sama nie liczyła. Nie pokazała tych butów Cubowi nie z jakiegoś szczególnego powodu, ale po prostu dlatego, by pozostały czymś wyjątkowym. Czymś należącym wyłącznie do niej. Zwykle ktoś wydierał jej z ręki każdą rzecz, po którą sięgnęła: jej własną szczotkę do włosów, pilota do telewizora, miękką część jedzonej właśnie kanapki czy ostatnią colę, z której otwarciem czekała przez całe popołudnie. Raz śniły się jej nawet ptaki wyrrywające jej całe pasma włosów z głowy, by uwić z nich czerwone gniazda.

Chociaż Cub i tak nie zauważyłby tych butów, nawet gdyby miała okazję, by je założyć. Dlaczego więc zdecydowała się tego ranka, by ruszyć przez błotnistą dolinę w tę najbardziej deszczową od lat jesień, z czarnymi liśćmi oblepiającymi skórę trzewików niemal do połowy łydek na podobieństwo ciemnych rybich łusek? Bo ten dzień rozgrywał się w jej głowie niczym niekończące się powtórki jednego i tego samego filmu, właśnie dlatego. W nużącej codzienności, cuchnącej moczem i rozgniecionymi bananami, jedyną pożywkę dla znudzonego umysłu stanowiły sny na jawie. To jej wystarczało. Zwykle kiedy oddawała się tym fantazjom na poważnie, myślała o pocałunkach, ale z czasem zaczęły się też pojawiać inne detale, szczegóły otoczenia i stroju. Może na tym właśnie polega różnica między marzeniami kobiet i mężczyzn, pomyślała. Na obecności ubrań lub ich braku. Buty z cielęcej skórki stanowiły tu istotny element, podobnie jak zamszowa kurtka, pożyczona od najlepszej przyjaciółki, Dovey, i czerwona apaszka, wszystkie te rzeczy, które on powoli z niej zdejmie. Wyobrażała też sobie, że będzie tak właśnie zimno. Jej rozbiegane myśli nie były w stanie wymazać wszystkich ewentualnych niedogodności. Jej zarumienione policzki, jego ciepłe dłonie przyglądające na skroniach kosmyki jej rudych włosów, każda z tych rzeczy też stanowiła nieodłączny element tego obrazu. Tego ranka założyła swoje nowe buty, zupełnie jakby otrzymała polecenie na piśmie.

Teraz tkwiła w tym wszystkim po uszy, chociaż na razie nie miała jeszcze na sumieniu poważniejszych występków. Spotykali się na góra dziesięć sekund za jakąś stodołą czy blaszaną szopą, gdzie nie dostrzegłyby ich dzieci czekające w aucie zaparkowanym tuż za rogiem i wyklócające się co sił w płucach. „Słyszę je, więc nadal żyją” – to nie jest myśl wprawiająca w romantyczny nastrój. A jednak czekanie na niego przyprawiało ją o drżenie. Na jego oczy, przywodzące na myśl bursztynowe szkło butelki z piwem, dołeczki w policzkach i szeroki uśmiech, który zdawał się rymować ze słowem „dech”. Sposób, w jaki ujmował jej twarz w dłonie, mój Boże. A potem, wpatrując się jej w oczy, pocierał końcówki jej włosów między palcami, zupełnie jakby liczył pieniądze. To właśnie te chwile uniesienia sprawiały, że każdej nocy siadała

na podłodze garderoby i mówiła mu różne bzdury przez telefon, podczas gdy jej bliscy śnili swoje słodkie sny. Kiedy w ciemnościach szepetała do słuchawki, wiszące na wieszakach robocze koszule męża dotykały lekko jej głowy, niemal tak, jak robił to Cub, kiedy siedziała na podłodze z dzieckiem, podczas gdy on rozpierał się na kanapie podczas oglądania telewizji. Nieświadomy burzy szalejącej w jej wnętrzu. Cub zawsze poruszał się jak w zwolnionym tempie. Jego łagodność stanowiła po prostu główny element jego natury, tak jak włókna składają się na materiał, z którego szyje się ubrania, dobrze o tym wiedziała. Coś, z czym żona powinna godzić się bez słowa skargi. Ale przez to Cub wydawał się głupi jak krowa, a ją doprowadzało to do szaleństwa. To wszystko. To, jak pozwalał swojej matce sobą komenderować, kiedy kazała mu zmiatać z talerza i chować poły koszuli w spodnie, zupełnie jakby był niemal stukilogramowym dzieckiem. Jego zawstydzające przezwisko. Mógłby być Burleyem juniorem, gdyby tylko chciał, ale zamiast tego pozwalał nie tylko rodzicom, ale praktycznie wszystkim mówić na siebie Cubby, zupełnie jakby był małym chłopcem, podczas gdy do jego ojca, Burleya Turnbowa seniora, zwracali się per „Bear” – „Niedźwiedziu”. Mały niedźwiadek powinien już dawno dorosnąć, ale w wieku dwudziestu ośmiu lat Cub wciąż stawał ze smutną miną i przygarbionymi ramionami w progu saloniku rodziców, odrzucając opadającą mu na oczy jasną grzywkę. Teraz pozwoli jeszcze, by jego bezlitosna żona okryła go wstydem, a może w ogóle nie zwróci na to uwagi. Dlaczego nadal miałby ją równie mocno kochać?

Ona sama czuła się wręcz zaszokowana własnymi zdradami. Zupełnie jakby oglądała w telewizji jakąś szaloną, nieokiełznaną, nieco ładniejszą wersję siebie, wyprawiającą rzeczy, których nie zrobiłby nikt mający normalne życie, a nie takie wymyślone przez scenarzystów. Układając Cordelię do snu jak najwcześniej, podczas gdy Preston jest akurat w przedszkolu, byle tylko wykraść parę minut na chwilę intymności z mężczyzną, który nie był jej mężem. Pragnienie zadzwonienia do niego było gorsze niż ochota na papierosa, zupełnie jakby ciągle słyszała w obu uszach krzyk. Często przejeżdżała koło jego domu, tłumacząc dzieciom siedzącym z tyłu, że o czymś zapomniała i musi wrócić

do sklepu. Mówiła, że chodzi o lody czy oranżadę, żeby je uciszyć, ale nawet pięciolatek wiedział, że to nie jest droga do sklepu. Preston wygłaszał swoje wątpliwości z samochodowego fotelika, z którego miał widok na niewiele więcej poza koronami drzew i czubkami słupów telefonicznych.

Facet od telefonów, tak nazywała tę swoją obsesję – miał zbyt pospolite imię, bo przecież nie można wyrzucić całego swojego życia do góry nogami dla jakiegoś tam Jimmy'ego – chociaż trudno go było właściwie uznać za mężczyznę. Twierdził, że ma dwadzieścia dwa lata, ale to pewnie też była naciągana wersja. Mieszkał z matką w przyczepie kempingowej i poświęcał weekendy na rzeczy, które interesowały chłopców w jego wieku, czyli piwo i zabawy z piłą łańcuchową albo strzelanie do tarczy. Nie było żadnego wytłumaczenia na ryzykowanie wszystkiego dla kogoś, komu prawo być może nie pozwalało jeszcze kupić sześciopaku piwa. Tak bardzo pragnęła się uwolnić od tego szalonego pożądanego. Już wcześniej zdarzało się jej nedorzecznie zadurzyć, ale tym razem czuła, że to zauroczenie zagraża jej życiu, zwłaszcza kiedy leżała w łóżku obok Cuba. Próbowała valium, jednej z kilku tabletek grzechoczących jeszcze w buteleczce, którą dostała na receptę dziesięć lat temu po stracie pierwszego dziecka. Ale lekarstwo nie podziałało, pewnie zdążyło już stracić ważność, tak jak wszystko inne w ich domu. Tydzień temu podczas cerowania pizamy Cordie specjalnie wbiła sobie igłę w palec, a potem patrzyła na kroplę wyływającą z ranki krwi, która przypominała wpatrujące się w nią ciemnoczerwone oko. Ranka nadal pulsowała bólem. Umartwienie ciała. A jednak wciąż nie mogła przestać o nim myśleć, wydzwaniać do niego, snuć planów i przejeżdżać obok miejsc, w których miał pracować, byle tylko zobaczyć go na słupie telefonicznym w jego skórzanej uprzęży. Poznali się za sprawą dziwnego splotu wydarzeń: zwalone w bezwietrzny dzień drzewo zerwało linię telefoniczną tuż przed jej domem. Co prawda nie mieli z Cubem telefonu stacjonarnego, ale zerwaną linię i tak należało naprawić. „Ze względu na tych, którzy ciągle polegają na kablu”, powiedział jej wtedy Jimmy z szelmowskim uśmiechem, a wszystko to, co wydarzyło się potem, było kompletnie bezsensowne, zupełnie

niczym ulewny deszcz mimo prognoz słonecznej pogody, niszczący uprawy i starannie przygotowane plany. Nie ma sensu obwiniać deszczu i błota, to tylko żywioły. Poczucie klęski brało się tak naprawdę z zawiedzionych nadziei.

A jednak ryzykowała teraz wszystko, z uniesioną głową zmierzając na szczyt wzgórza, gotowa na spotkanie z przeznaczeniem. Na rozczarowanie, rozpad rodziny. Kompletną ruinę, koniec kropka. Mogła tylko zgadywać, co zrobiłaby dla pieniędzy, gdyby Cub ją zostawił. Od czasu zamknięcia baru w Feathertown, kiedy była jeszcze w ciąży z Prestonem, nie pracowała i właściwie rzadko z kimś rozmawiała. Nikt nie zatrudniłby jej znowu jako kelnerki. Wszyscy wzięliby stronę Cuba, a połowa mieszkańców miasteczka twierdziłaby też pewnie, że się tego spodziewała, tylko dlatego, że zwyczajnie uwielbiali wszelkiego rodzaju tragedie. „Szalała już w liceum, ale tak to jest z tymi ładnymi, wcześniej dojrzewają, szybko się psują”. Powtarzałoby dokładnie to samo, co jej teściowa powiedziała kiedyś Cubowi: że z Dellarobią jest coś nie w porządku, zupełnie jakby leżała w kawałkach na stole, ze szpilkami powtykanymi tu i tam, niczym wybrakowany wykrój. Którego elementu brakowało?

Ludzie ustawialiby się pewnie w kolejce, żeby udzielić odpowiedzi na to pytanie. Na przykład tego fragmentu, który odpowiada za umiejętność przewidywania. Niepracująca żona bez zawodu, zapominająca o zdrowym rozsądku, żeby uganiać się za przystojnym chłopcem, który przecież nie zaopiekuje się jej dziećmi. Zachowująca się tak, jakby świat miał się jutro skończyć. A jednak. To, jak na nią patrzył, zdawało się sugerować, że byłby jej gotów ofiarować złote jabłka z ogrodu Hesperyd albo rzekę Missisipi. To, jak obejmował palcami jej nadgarstki czy kostki u stóp, zachwycając się ich szczupłością, przywodziło jej na myśl raczej kosztowny klejnot niż niekonsekwentnego młokosa. Nikt wcześniej nie słuchał jej tak jak on. Ani nie patrzył tak na nią, kiedy z nabożeństwem dotykał jej włosów i próbował określić ich odcień: gdzieś pomiędzy znakiem stopu a zachodem słońca, mówił. Albo pomidorami i biedronką. A potem zaczynał gładzić jej skórę i nazywał ją „brzoskwinką”.



Nikt nigdy nie nadawał jej żadnych pieszczotliwych przezwisk. Wszyscy zwracali się do niej imieniem, które oszołomiona znieczuleniem matka podała w szpitalu, przekonana, że pochodzi ono z Biblii. Dopiero później przypomniawszy sobie, że to nieprawda, że usłyszała to słowo na pokazie rękodzielnictwa w Klubie Pań. Znalazła zdjęcie w jakimś damskim czasopiśmie i zawołała córkę, żeby przyszła zobaczyć. Od tamtej pory minęło ponad dwadzieścia lat, ale Dellarobia wciąż pamiętała tamto zdjęcie wieńca w stylu „dellarobia”, płataniny sosnowych szyszek i żołądzy przyklejonych do styropianowej podstawy. „Mimo wszystko ładna rzecz”, orzekła wtedy matka, ale to rozczarowanie zdawało się zapowiadać przyszłe zdarzenia. Jej dotychczasowe poczynania nie pokrywały się z planami Stwórcy. Oczywiście poza zawarciem małżeństwa w bardzo młodym wieku. To właśnie przewidział Pan dla dziewcząt, które mają wielkie marzenia, ale żadnych konkretnych planów, zwłaszcza jeśli dziecko jest już w drodze. Dziecko, które nie istniało tak w pełni, którego nie miała szansy zobaczyć na własne oczy, potworek. Pielęgniarka z oddziału dla wcześniaków mówiła, że miało dziwne gęste włosy na całym ciele, rude tak jak u niej. Preston i Cordelia, którzy urodzili się potem, byli blondynkami jak wszyscy Turnbowowie, ale to pierwsze, otulone rdzawym futrem maleństwo, było szaloną, złośliwą istotą, całkiem jak jego matka. Zmusiło dwójkę osłupiałych nastolatków do ślubu, a potem uciekło ze śmiechem, porzucając ich na pastwę losu. Przez kolejnych pięć lat musieli się starać o następne dziecko, mające wypełnić pustkę w ich życiu, której w ogóle nie powinno przecież być.

Nagle jakiś ruch przyciągnął jej wzrok, popatrzyła więc w górę. Jakim cudem coś równie ulotnego potrafiło zwrócić uwagę człowieka? Zwykła błahostka, ledwie drobina pomarańczowego koloru unosząca się nad drzewami. Punkcik przesunął się nad jej głową na lewo od ścieżki, gdzie zbocze wzgórze opadało stromo w dół. Wykrzywiła wargi na myśl o rudowłosych zjawach. Takie niedorzeczne fantazjowanie było poniżej jej godności. Wbiła wzrok w ścieżkę, żeby nie patrzeć do góry. Zzajana niczym owca, pięła się coraz wyżej, ale przychodziło jej to z coraz większym trudem. W końcu zdecydowała się odpocząć

chwile pod przydrożną topolą. Oparła się plecami o gładki pień drzewa i stuliła dłonie, żeby zapalić papierosa, na którego od dobrych trzydziestu minut miała straszną ochotę. Oddychając przez nos, policzyła do dziesięciu, a potem w końcu się poddała i spojrzała ponownie w górę. Nie miała okularów, musiała więc nieźle wyteńczyć wzrok, w końcu jednak dostrzegła znajomy punkcik, unoszący się w przejrzystym powietrzu ponad pofałdowanym terenem: pomarańczowy motyl w równie deszczowy dzień. Ten mały zuchwalec kompletnie nie pasował do otoczenia. Natychmiast pomyślała o niedorzecznych zestawieniach z dziecięcych książeczek: Który element nie pasuje do pozostałych? Jabłko, banan, taksówka. Miły farmer, mężatka z dwójką dzieci, seksowny facet od telefonów. Obserwując plamkę oranżu połyskującą w dolinie, dopaliła papierosa i starannie przydeptała niedopałek, a potem ruszyła dalej, szczelniej otuliwszy szyję apaszką. Teraz nie odrywała już wzroku od ziemi. Lepiej, żeby chłopak był tego wart, przemknęło jej przez głowę. Kolejna niezbyt seksowna myśl. Może to znak, że zaczyna jej wracać zdrowy rozsądek.

Ostatnia część szlaku była najbardziej spadzista, o ile dobrze pamiętała ze szkolnych czasów. Któż mógłby zapomnieć równie trudną trasę, skalistą, stromą i *mroczną*. Wkroczyła już do tej części lasu, którą ludzie nazywali Choinkową Farmą, z jodłami posadzonymi tu z zamiarem, który najwyraźniej nigdy się nie powiódł. Powietrze nagle stało się chłodniejsze, a atmosfera zrobiła się wręcz upiorna, zupełnie jakby te pochylające się iglaki chowały urazę, nie mogąc wybaczyć ludziom, że o nich zapomnieli. Co jej przyszło do głowy, żeby na miejsce spotkania wybrać tę starą myśliwską chatę? Romans wydawał się teraz równie nierealny, jak w każdy inny dzień wypełniony zajmowaniem się dziećmi i odgruzowywaniem podłogi z zabawek. Mogła sobie ułatwić sprawę i zburzyć swoje dotychczasowe życie w jakimś motelowym pokoju, jak przystało na rozsądną kobietę, ale nie. Nogi odmawiały jej już posłuszeństwa, tyłek bolał coraz bardziej. Czuła, jak na stopach tworzą się jej pęcherze. Trzewiki, które jeszcze tego ranka tak jej się podobały, teraz wydawały się kompletnym idiotyzmem, ze zgrabnymi obcasikami przeznaczonymi nie do górskich wędrówek, ale do paradowania

w podkreślających pośladki dżinsach. Uważnie patrzyła pod nogi, świadoma tego, jak wyglądałby ten dzień, gdyby złamała teraz kostkę. Kamienista ścieżka miejscami biegła tak ostro pod górę, że Dellarobia musiała się chwytać młodych drzewek, by utrzymać równowagę.

Z ulgą dotarła wreszcie do płaskiego spłachetka ziemi pokrytego dywanem zbrązowiałych igieł, po czym na zwisającej nad ścieżką gałęzi dostrzegła coś ciemnego. Najpierw pomyślała, że to gniazdo szerszeni albo rój pszczół szukających nowego domu. Widywała już wcześniej takie rzeczy. Ale tym razem nie było słycać brzęczenia. Powoli podeszła bliżej, z nadzieją, że zdoła przemknąć pod spodem, co by to nie było. Podejrzany przedmiot szeleścił niczym uschłe liście albo pozbawiona nasion szyszka, chociaż był znacznie większy. Przypominał wiszącego na drzewie pancernika, pomyślała, chociaż nie miała pojęcia, jakiej wielkości mógłby on być. Łuskowata, ostro zakończona u dołu konstrukcja sprawiała wrażenie, jakby w każdej chwili mogła zacząć ciec. Dellarobia nie miała ochoty pod tym czymś przechodzić. Znowu pożałowała, że zostawiła okulary w domu. Próżność to jedno, ale w tej cholernej głuszy dobra widoczność mogła się okazać znacznie ważniejsza. Dellarobia zmrużyła oczy i popatrzyła uważnie na widoczne na tle jasnego nieba ciemne gałęzie pod takim kątem, że aż zakręciło się jej w głowie.

Serce zabiło mocniej. Dokładnie tak samo wyglądały wszystkie drzewa wokół, obwieszane jakby ogromnymi gronami. Grzyb, przemknęło jej przez głowę, a kąciki ust same wygięły się ku dołowi. Drzewa zaczynały chorować. Cub wspominał coś na ten temat. Łagodne zimy i coraz wilgotniejsze lata sprawiały, że w ostatnich czasach lasy padały pastwą nowych odmian szkodników i chorób. Dellarobia otuliła się szczelniej kurtką i pospiesznie prześliznęła się pod drzewem, pochyliwszy głowę, nawet jeśli to najeżone coś wisiało dobre trzy metry nad ścieżką. Już po wszystkim z drzeniem przecesała palcami włosy, chociaż strach przed grzybem wydawał się jej taki dziecinny. Dzień jakby nie potrafił się zdecydować, czy się ocieplić, czy nie. W cieniu igłaków było naprawdę zimno, a widok grzyba przywodził jej na myśl szorowanie prysznicowej zasłonki z pleśni za pomocą Mr. Cleana, jedno z głównych wydarzeń jej życia. Próbowała odegnać od siebie ten obraz

**Dwukrotna laureatka NAGRODY PULITZERA  
oraz THE WOMEN'S PRIZE FOR FICTION**

Dellarobia jest młodą żoną i matką, mieszka na podupadającej farmie, ledwie wiążąc koniec z końcem. Jej życie to pasmo rozczarowań.

Pewnego dnia napotyka szokujący widok: jezioro ognia pośród cichej zalesionej doliny. Okazuje się, że jest to stado motyli monarszych, które z niewiadomych przyczyn zjawilo się w wiosce pośród Appalachów.

Zjawisko wywołuje wielką konsternację wśród naukowców, przywódców religijnych i dziennikarzy, wywracając życie Dellarobii i okolicznych mieszkańców do góry nogami. Dziewczyna musi skonfrontować się ze swoją rodziną, Kościołem, miastem i całym światem, szukając prawdy, która może zniweczyć wszystko, w co kiedykolwiek wierzyła.

„Lot motyla” podejmuje jeden z najważniejszych tematów naszych czasów: zmiany klimatyczne. Z wielką empatią Barbara Kingsolver analizuje motywy, które kierują zarówno zaprzeczeniem, jak i wiarą w niepewny świat.

Opowiada o małej społeczności i codziennych rozejmach między rozumem, a przekonaniem.

„Liryčna, zaangażowana społecznie i pełna pasji.”

„SUNDAY TIMES”

„Fascynująca fabuła.”

„SUNDAY TELEGRAPH”

„Fenomenalne.”

„NEW YORK TIMES”

„Powieść, za którą tęskni się po przeczytaniu ostatniej strony.”

„USA TODAY”

wydawnictwofilipia.pl



cena 89,90 zł

ISBN 978-83-8357-300-7



9 788383 573007